



MAREK NOWAKOWSKI

DOMEK TRZECH KOTÓW



Świat Książki

DOMEK TRZECH KOTÓW

MAREK NOWAKOWSKI

DOMEK TRZECH KOTÓW

Redaktor prowadzący
Katarzyna Krawczyk

Redakcja techniczna
Julita Czachorowska

Korekta
Tadeusz Mahrburg
Grażyna Henel

Copyright © by Marek Nowakowski 2011
Copyright © by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2011
Copyright © for the e-book edition by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2011

Świat Książki
Warszawa 2011

Świat Książki Sp. z o.o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

ISBN 978-83-247-2655-4
Nr 45098

Noce były coraz chłodniejsze. Rankiem cienkie tafelki lodu pokrywały kałuże. Za dnia się ocieplało. Wyłaziło blade słońce. Tafelki lodu topniały szybko. Ale przymrozki się powtarzały. Wyraźnie szło ku zimie.

Od kilku wieczorów spoglądaliśmy z balkonów i okien naszego domu na stos zgrabionych liści, który stał się gniazdem dla białej kocicy i dwojga kociąt. Wyrobiły sobie w liściach wgłębienie i tam nocowały. Przychodziły o zmierzchu. Mościły się pracowicie. Trzy przytulone do siebie kłębki. Dwa małe i matka. Tworzyły ciasną całość. Futrzasty kokon ciepła.

Nie wiadomo, skąd przywędrowała ta kocia rodzi-
na. Może przedtem mieszkała gdzieś w piwnicy. Ale w większości domów dawno już szczelnie pozamykano piwniczne okienka, wstawiono szyby i kraty. Koty bezpowrotnie straciły dostęp do piwnic. Może gdzieś w podwórzu którejs z starych kamienic pozostało ja-

kieś okienko zapomniane przez dozorcę. Potajemnie otwierane przez litościwych ludzi. Mogło tak być. Ale to był wyjątek. Bezpańskie koty straciły piwnice, które niegdyś służyły im jako schronienie. Musiały szukać innych sposobów przetrwania. Zresztą do rzadkości należał widok kota włóczęgi przemykającego przez jezdnię i kryjącego się pod zaparkowanymi samochodami. Miasto przestało być dla nich przyjazne; kocie życie najeżone było trudnościami.

Biała kocica z dwoma kociętami przyszła z przedszkolnego ogródka, który przylegał do naszego podwórza. Zwabiły ją zapewne kopce zgrabionych liści opadłych z wysokich drzew rosnących w części podwórza zwanej ogrodem. Do przeprowadzki zmusiła je utrata dotychczasowego noclegu. Sypiały w przedszkolu pod werandą? W szopie na narzędzia przylegającej do ślepej ściany wielkiej kamienicy? Przywędrowały z jeszcze dalszych stron?

– Kot to nomada – mawiał szewc z oficyny po drugiej stronie ulicy. – Nieznane są jego ścieżki.

Przysposobione legowisko nie gwarantowało dobrych widoków na zimową przyszłość. Zgrabione liście czekały na zabranie. Niebawem podjedzie ciężarówka i, jak co roku, zostaną wepchnięte do niebieskich, foliowych worków i wywiezione. Na razie kocia rodzina wciśnięta w grubą, szeleszczącą podściółkę grzała się swoim ciepłem i tak spędzała noc. Wieczorem liście pokrywał szron. Sztywniały. Za dnia

zaś stawały się miękkie, wilgotne. Gniły. Marne to noclegowisko.

Kocicę od razu nazwaliśmy Białą, kocieciom nie nadaliśmy na razie imion. Jedno było czarne, aż smoliste, drugie białe z czarnym pasemkiem na grzbiecie. Pani Irena ze środkowej klatki wystawiła Białej mleko w miseczce.

– To najbardziej potrzebne maluchom. Mleko i jeszcze raz mleko!

Kupowała kartony tego wysokoprocentowego. Niech się maluchy rozwijają należycie. Ssały chciwie sutki matki, przebierając łapkami po jej brzuchu. Wyglądały jak w ekstazie. Ten widok sprawiał satysfakcję. Przecież nie może tak być, żeby zabrakło im pożywienia. Znosiliśmy więc kocicy jadło w rozmaitej postaci.

W naszym domu była silna grupa kociarzy. Przede wszystkim pani Irena, emerytowana pielęgniarka, wdowa. Dzieliła mieszkanie z Misią, wysterylizowaną kocicą, i zawsze podkarmiła bezpańskie koty. Pani z trzeciej klatki, młoda, rezolutna osóbką w okularach, działała w fundacji pomagającej porzuconym zwierzętom i przez Internet prowadziła rozmaite akcje, apelowała do ludzkich serc. Jej pupilem był kot bez jednej łapy, ofiara wypadku samochodowego. Uratowała go przed uśpieniem. Rozczułało nas przywiązanie nieszczęśnika do swej wybawicielki. Pan Maciej do niedawna wyprowadzał na spacerzy zapasioną

na kształt beczułki kotkę. Trzymał ją na długiej smyczy. Była nieruchawa; bez szczególnego zainteresowania obwąchiwała krzaki, po czym zdecydowanie kierowała się w stronę domu. Sybarytka z natury, ciepło i wygody przytulnego mieszkania ceniła nade wszystko. Zmarła z końcem lata i pan Maciej bardzo przeżył jej odejście. Byli jeszcze inni sympatycy kotów oddani im całym sercem. My także od niepamiętnych czasów mieliśmy lokatora, wiekowego kocura, czwartego z kolei; posiadał status członka rodziny.

Zaczęliśmy poczuwać się do odpowiedzialności za los kociej rodziny, która tak niespodziewanie zagodziła na podwórzu. Nawet psiarze, a ci byli w większości, przyłączyli się do pomocy bezdomnym zwierzętom.

– Na tyle jeszcze pozostaliśmy ludźmi – oświadczyła właścicielka pięknego labradora, która przychodziła w odwiedziny do przyjaciół w naszym domu.

Odtąd kupowała karmę nie tylko dla psa. Toteż białej kocicy z dwoma kociętami pożywienia nie brakowało.

W cieplejsze dni, kiedy zza szarych chmur wyzierało nikłe słońce, kociaki baraszkowały w ogrodzie za niewysokim płotem na podmurówce, oddzielającym tę enklawę żywej przyrody od wyłożonego betonową kostką podwórza. Umiały cieszyć się życiem i tym z nas, którzy nie mieli z czego się cieszyć, humory również się poprawiały.

Biała była troskliwą matką, lizała dzieci starannie, pozwalając się szarpać i miętosić, cierpliwie brała udział w beztroskich igraszkach potomstwa. A kocieci, mając pełne brzuszki, szybko nabierały sił i energii. Biegały jak frygi, nieustannie ciekawe pełnego niespodzianek świata.

Słońca ubywało, zmierzch zapadał coraz wcześniej. Obawialiśmy się nadchodzącej zimy. Kociej rodzinie mogła grozić zagłada. Jak pomóc? Narodził się pomysł: trzeba zostawić jedną kopę liści. Niech inne wywiozą, ta jedna pozostanie.

Marne to jednak było rozwiązanie. Przecież koty i tak nie dadzą sobie rady. Liście zawilgną, zbutwieją, zostanie gnijąca maź. Wkrótce żadnego z nich nie będzie pożytku. Nadejdzie mróz, spadnie śnieg, zerwą się lodowate wiatry. Biedactwa zamarzną.

Pocieszające było to, że choć nastał grudzień, to minusowe temperatury zdarzały się tylko nocą i bardzo rzadko. Nie nadeszła prawdziwa zima. Zresztą w ubiegłym roku wcale nie było tęgich mrozów. Dużo rozpisywano się o ociepleniu klimatu. Lody topniały na Grenlandii. Niepokojono się o przyszłość białych niedźwiedzi.

Na razie padały deszcze. Uporczywe. Z niedużymi przerwami. Dzień i noc. Mieliśmy przykry widok. Łało strumieniami i biedne stworzenia układały się na mokrym posłaniu. Tuliły do siebie. Próbowaly ogrzać się własnym ciepłem. Mokły. Po krótkim śnie

przenosiły się pod blaszany śmietnik na kółkach stojący nieopodal. Lub pod samochody.

Najbardziej przejmowała się niedolą kociej rodziny pani Irena.

– Mówi się: pieskie życie – powiedziała ponuro. – Kocie jeszcze gorsze.

Snuła się bezradnie po podwórzu, spoglądając na ostatni, nieuprzątnięty kopiec liści. Sąsiad z jej piętra, pan Stefczyk, psiarz, dobry człowiek, i Hubert, czyli Hubcio, rosły siedemnastolatek, syn pani Bożeny, gospodyni domu, pogadali z właścicielem sklepu z chemią. Wytaszczyli z zaplecza spore pudło z twardej tektury. Postawili w kącie ogrodu pod jarzębiną. Pani Irena wymościła wewnątrz starym kocem. Obracała kilka razy – zniosła poduszkę, podścieliła podarty dywanik, kapę z frędzlami. Powstawało iście królewskie posłanie.

Tak rozpoczęła się akcja pod hasłem: „Domek dla kotów”. Przebiegała bardzo sprawnie. Stanęła kartonowa budka. Hubert i jego ekipa, dwaj malcy trenujący pod jego okiem piłkę nożną na podwórzu, sporządzili podstawkę z desek, żeby tektura nie przeiękała od spodu. Wbili w ziemię paliki, żeby domku nie ruszyły wichury. Należało jeszcze karton osłonić od góry. Tektura szybko nasiąknie wodą, zacznie się rozłazić. Hubert pobiegł do zaprzyjaźnionych ekspedientek ze sklepu całodobowego. Często flirtuje z nimi przy piwie i uprzyjemnia dziewczynom monoton-

ną pracę. Wrócił stamtąd z płachtą folii. Okrył budę z wierzchu, obłożył cegłami. Pomysłowością i tempem działań ucieszył panią Irenę. Postawiła mu piwo. Schronienie było gotowe. Czy kocica z małymi ze-
chce się wprowadzić?

Pani Irena, osoba najbardziej obeznana z kocim plemieniem, zaczęła ją wabić i zachęcać do przeprowadzki. Postawiła w pobliżu domku puszkę z suchą karmą i miseczkę pełną mleka. Obserwowaliśmy jej długie i cierpliwe manewry. Powoli – ćwierć kroku, pół kroku, krok – zbliżała się do kocicy. Namawiała do podjęcia jedynie słusznej decyzji.

Kocica już rozpoznawała swoją dobrodziejkę. Ale była dzika i nieufna. Trzymała się w bezpiecznej odległości. Skuliła się gotowa do odwrotu. Zapewne w swoim kocim życiu doświadczyła od ludzi nie tylko dużo dobrego, ale i złego. Może więcej złego.

– Kicia, kicia! – powtarzała pani Irena łagodnie, ale dobitnie. Jej głos brzmiał zachęcająco; zawierał niewyczerpane pokłady cierpliwej dobroci i współczucia dla wszystkich istot potrzebujących pomocy. Budził zaufanie.

Biała kotka przysłuchiwała się z uwagą. Zaufać czy nie? Wyraźnie się wahała.

– Biała, zrozum, to w twoim interesie... Naprawdę! – mówiła pani Irena.

To wtedy nazwała ją po raz pierwszy Białą i tak zostało.